

# Andrzej Tomaszek

---

## Pogłoski o wojnie

---

Palestra 58/1-2(661-662), 224-227

---

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# Gawędy adwokata bibliofila

Andrzej Tomaszek

## POGŁOSKI O WOJNIE

W rozmowach ludzi bliskich mi intelektualnie pojawiała się w ostatnich miesiącach kwestia, czy grozi nam wojna. Najpierw brałem to za psychologicznie uzasadniony rezultat obawy sytych o utratę życiowego dorobku i przyszłość dzieci, później zacząłem się wszakże zastanawiać, czy to nie całkiem trzeźwa, uzasadniona geopolityką refleksja? Wojna rozumiana jako starcie militarne podmiotów prawa międzynarodowego omijała Polskę przez ponad sześćdziesiąt lat, co tłumaczy się obawą przed atomową zagładą (kto pamięta fenomen popularności opowiadania Marka Baranieckiego *Głowa Kasandry?*), równowagą sił mocarstw i bloków, a w ostatniej dekadzie tym, że cele polityczne i gospodarcze, do uzyskania których wojna była niegdyś niezbędna, osiągać można obecnie bez zbrojnego konfliktu. Słyszę teraz, że skoro tak długo wojny nie było, to prawdopodobieństwo jej wybuchu wzrasta, a nie maleje. Koniec historii to brednia, kryzys gospodarczy to katalizator wszelkich procesów sprzyjających rozwojowi nacjonalizmu, populizmu i totalitaryzmu, czego nieodłącznym elementem jest szukanie wroga i akceptacja wojny jako sposobu rozładowania napięć społecznych. Wojna może mieć wielu sprzymierzeńców, bo napędza przemysł. Dostawy dla wojska to marzenie przedsiębiorców wielu branż, odbudowa po zniszczeniach wojennych i zaspokajanie popytu na dobra konsumpcyjne na obszarach dotkniętych wojenną pożąką mogą przynosić pokaźne zyski. No i rządzącym jest łatwiej, bo ludzie doświadczeni wojną potrzebują mniej, aby osiągnąć stan zadowolenia. Nonsens, czarnowidztwo czy uzasadniona doświadczeniem historycznym obawa?

Na tych łamach wspominałem dwukrotnie o politycznych przepowiedniach George'a Friedmana. Po lekturze książki *Następne 100 lat. Prognoza na XXI wiek* miałem go tylko za błyskotliwego ignoranta, nieznającego europejskich realiów. Po przeczytaniu kolejnej jego pracy pt. *Następna dekada. Gdzie byliśmy i dokąd zmierzamy* i analizie kilku jego wypowiedzi dla polskiej prasy zmieniłem zdanie, bo i autor – Teksańczyk – okazał się potomkiem emigranta z Węgier, i przedstawione przez niego opinie ujmują logiką i realizmem.

Przekonuje mnie przedstawiona przez Friedmana ocena Unii Europejskiej jako poli-

tycznego projektu. Unia „powstała jako strefa wolnego handlu i tym właśnie pozostanie. Nie zmieni się w wielonarodowe państwo, dużego gracza na arenie międzynarodowej” – stwierdza Friedman i następująco definiuje problem: „Europejczycy miotają się między suwerennością narodów a europejskim rozwiązaniem kryzysu gospodarczego. Wyzwanie, które kryzys finansowy stanowił dla jedności europejskiej, jeszcze bardziej blokuje integrację militarną. Istnieje europejska biurokracja, ale nie europejskie państwo” (*Następna dekada*, s. 191).

Bezsporne, że do Unii Europejskiej przyjęto nas nie z miłości, ale z potrzeby pozyskania nowych rynków zbytu dla wiodących europejskich gospodarek. Dzięki temu, że akcesji towarzyszyły i wzniosłe hasła, i odpowiednia celebry, było miło. Dzięki temu, że tysiące Polaków wyjechały na Zachód, a poruszanie się po Europie stało się dla nas chlebem powszednim, poczuliśmy się Europejczykami. Projekt zaczął jednak się sypać wraz z narastaniem kłopotów gospodarczych i nie sposób dziś przewidzieć, jaki będzie dalszy ciąg zdarzeń. Przynależność do konfederacji może stymulować rozwój, ale nie gwarantuje bezpieczeństwa. W kwestii rozwoju słychać zresztą coraz więcej krytycznych głosów. Zdaniem polskich prawników publicystów rozszerzenie Unii to nic innego tylko neokolonializm, i to my jesteśmy kolonizowani. Można się oczywiście z tym nie zgadzać, ale warto przeczytać (choćby w celach polemicznych), jak przekonuje do tej tezy Rafał Ziemkiewicz w niedawno wydanych *Myślach nowoczesnego endecka* (wyd. Fabryka Słów, 2012). Jako zainteresowanego prawem własności przemysłowej do głębokiej refleksji skłonił mnie tekst Aleksandra Pińskiego *Polska biedna na zawsze* („Uważam Rze” z 10–16 grudnia 2012 r.), opatrzony następującą konkluzją:

„Posunięcia władz UE wobec nowych krajów wspólnoty zaczynają się układać w spójną całość. Najpierw otworzono rynki byłych krajów socjalistycznych na zaawansowane technicznie produkty z Niemiec, Francji czy Wielkiej Brytanii, co istotnie utrudni – o ile nie uniemożliwi – stworzenie w tych krajach konkurencyjnych firm w tych branżach. Teraz wzmacnia się ochronę patentową, aby pozyskanie know-how było jeszcze droższe. Trudno się oprzeć wrażeniu, że bogate kraje nie chcą, by u nowych, biedniejszych członków UE rozwinęła się produkcja wymagająca zaawansowanych technologii. To z kolei nasuwa nieodparcie skojarzenia z polityką Wielkiej Brytanii i innych mocarstw wobec swoich kolonii”.

Friedman widzi tu jeszcze jeden problem – utratę przez nowych członków Unii władztwa nad bankami i krajowymi systemami finansowymi, i kategorycznie go definiuje: „Państwo, które nie kontroluje własnego systemu finansowego, zmierza do utraty suwerenności (...) Silniejsi jej [tj. Unii] członkowie, jak Niemcy, zwiększyli swoją suwerenność podczas kryzysu, natomiast słabsze kraje częściowo ją utraciły. Ten problem braku równowagi będzie wymagać pilnego rozwiązania w nadchodzącej dekadzie” (s. 189).

Daleki jestem od twierdzenia, że na członkostwie w Unii straciliśmy, ale zgodzę się z opinią, iż wartość tego członkostwa zdarza nam się znacznie przeceniać.

Najciekawsze wydają się rozważania Friedmana dotyczące zagrożeń dla polskiej państwowości. Jego zdaniem ani członkostwo w Unii, ani w NATO wcale nie gwarantuje nam bezpieczeństwa. „Polacy znaleźli się w Unii Europejskiej, ale tkwią, jak tkwili, między Niemcami i Rosją. Co się stanie, jeśli te dwa kraje się sprzymierzą?” – pyta

Friedman (s. 167) i rozwiązanie widzi w sojuszu z USA, które podobnie jak Wielka Brytania, zawsze – jego zdaniem – dążyć będzie do utrzymania równowagi w Europie i przeciwdziałać dominacji Niemiec, jak i jej zbliżeniu z Rosją. Rzecz w tym, że amerykańska pomoc w wypadku wojny nie przyjdzie szybko. „Ani Polska, ani pozostałe kraje Unii Europejskiej nie uzyskają pomocy, jeśli nie będą potrafiły pomóc sobie same” – stwierdza bez ogródek (s. 204) i za najlepszą amerykańską strategię uważa wspieranie lokalnych sił wojskowych sojuszników, w Europie Polski, Węgier i Rumunii, aby sami mogli oni powstrzymać agresora albo przynajmniej wytrwać do nadejścia amerykańskiej pomocy (s. 204).

Friedman pozbawia nas złudzeń bezpieczeństwa i wiary w nowe polityczne jakości. Jesteśmy bezpieczni siłą swojego wojska, a nie podpisami na traktatach. Mnie skłania do gorzkich refleksji o jakości polskiego patriotyzmu AD 2013, o naszym wojskowym przysposobieniu, o naszym stosunku do żołnierzy i weteranów. Obrzydzeni połajankami polityków bardziej nimi pogardzamy, niż ich szanujemy. Obsługa broni to egzotyczna umiejętność, a obraz wojny budujemy nie z własnej historii, ale z dziejów Śródziemia.

W tym miejscu chcę uprzedzić ewentualne głosy, że Rosję można demokratyzować (najlepiej „brzęczącym pieniądzem” z Zachodu), a w przypadku zachodniego sąsiada – mamy obecnie do czynienia z innym społeczeństwem niż to, które oddało władzę nazistom. Wierzących w możliwość demokratyzacji Rosji zachęcam do lektury prac Orlando Figesa *Tragedia narodu. Rewolucja rosyjska 1891–1924* (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2009) czy *Szepty. Życie w stalinowskiej Rosji* (Wydawnictwo Magnum, Warszawa 2010), aby nie ulegali iluzji. Dobrzy zwykli ludzie plus straszny system władzy nie sumują się w nic pozytywnego. Spokojnym o niemiecką demokrację i nadreński pacyfizm zalecam lekturę prac Adriana Weale’a pt. *SS. Historia pisana na nowo* (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2010) i Fabrice’a d’Almeidy pt. *Światowe życie w czasach nazizmu* (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2009), aby przekonać ich, że nawet naród o tak wspaniałym dorobku cywilizacyjnym jak Niemcy nadal może stać się agresorem.

Choć zdaniem Friedmana świat islamu nie będzie w dłuższej perspektywie stanowił poważnego zagrożenia dla pokoju, trudno pozbyć się obaw także o wojnę z pobudek religijnych. Choć teksty zislamizowanego Polaka Ibrahima Kalwasa uspokajają, to *Wściekłość i duma* Oriany Fallaci (wyd. polskie Cyklady 2003) wciąż wywołuje dreszcz.

Największy mój niepokój budzą jednakże opublikowane w polskiej prasie dane na temat poziomu bezrobocia wśród młodych. Otóż 23,4% obywateli Unii poniżej 25. roku życia nie ma pracy. Średnią tę zawiązują kraje południa – Grecja (57%), Hiszpania (55,9%), Portugalia (39,1%) i Włochy (36,5%), ale i u takich europejskich liderów jak Francja i Wielka Brytania liczba bezrobotnych w tej kategorii wiekowej przekracza 20%. Stosunkowo najlepiej mają się Niemcy (8,1%), Austria (8,5%) i Holandia (9,8%), co nie dziwi w świetle historii tych krajów i społeczeństw. Na tym tle Polska z rezultatem 27,8% nie błyszczy (*vide*: „Gazeta Wyborcza” z 5 grudnia 2012 r.).

W skali Europy mamy oto do czynienia z wielką grupą młodych desperatów, którzy uważają, że tylko skorzystają na obaleniu tzw. starego porządku (cokolwiek by miał ten termin oznaczać), i tzw. NEETS, tj. młodych zniechęconych już do szukania pracy i żądających wyższych zasiłków i darmowej opieki socjalnej. Jedni i drudzy są podatni na populistyczne hasła i mogą naiwnie sądzić, że aby budować nowy lepszy świat,

trzeba najpierw zburzyć stary. Mogą akceptować wojnę i ofiary, mogą nawet wspierać dyktaturę i totalitaryzm, jeśli uwierzą, że da im to lepsze perspektywy.

Próbuję zapomnieć o zagrożeniu, siadam w fotelu przed kominkiem w towarzystwie wiernego czworonoga z czarną brodą i chcę pogрузić się w relaksującej lekturze, może opowiadań Andrzeja Pilipiuka o doktorze Skórzewskim, może opowieści Marka Krąjewskiego o Edwardzie Popielskim lub Eberhardzie Mocku, ale niepokój pozostaje... Bo jeśli to wszystko, o czym wyżej wspomniałem, nie ma sensu, to dlaczego minister finansów RP, występując na unijnym forum, wspominał o wojennym zagrożeniu i o wartości „zielonej karty” uprawniającej do stałego pobytu w USA?